



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO - KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

NR 3/ 2012 (105)



Wtedy jest Boże Narodzenie

*Zawsze, ilekroć uśmiechasz się do swojego brata
i wyciągasz do niego ręce,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy milkniesz, aby wysłuchać,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy rezygnujesz z zasad,
które jak żelazna obręcz uciskają ludzi
w ich samotności,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy dajesz odrobinę nadziei "więźniom",
tym, którzy są przytłoczeni ciężarem fizycznego,
moralnego i duchowego ubóstwa,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy rozpoznajesz w pokorze,
jak bardzo znikome są twoje możliwości
i jak wielka jest twoja słabość,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, ilekroć pozwolił by Bóg
pokochać innych przez ciebie,*

*Zawsze wtedy,
jest Boże Narodzenie.*

Matka Teresa z Kalkuty

TAJEMNICE PAWONKOWSKIEGO KOŚCIOŁA

Podczas prowadzonego obecnie generalnego remontu kościoła odnaleziono dwa bardzo ciekawe listy „Do przyszłości”.

Pierwszy z nich znaleziono na szczycie wieży, w kuli pod krzyżem.

(Treść tłumaczona z języka niemieckiego)

*"W Roku Jubileuszowym 1900 pod chwalebnyymi rządami Papieża Leona XIII i niemieckiego cesarza Wilhelma II, króla Prus, podczas biskupstwa Jego Ekscelencji kardynała Georga Koppa, arcybiskupa z Wrocławia górna partia wieży tutejszego kościoła parafialnego, która od powstania kościoła w 1806 roku, była wykonana z drewna, teraz zostaje masywnie wykonana. Koszty ponoszą patroni: szlachetnie urodzona wdowa pani von Thaer *) daje 1100 marek. Resztę 4900 marek parafianie z pomocą ziemskich majątków ze Skrzydłowic i Kośmidrów. Budowę prowadził mistrz budowlany i Radny Franz Schulz z Chorzowa."*

Pawonkau 2 Mai 1900
JOZEF HACHULSKI Pharrer **)

*) Franziska von Thaer (z domu von Dresler und Scharfenstein) była żoną zmarłego w 1898 roku Ernsta von Thaer, który sprowadził się do Pawonkowa w 1866 roku po zakupie tutejszego majątku.

Mimo, że rodzina jest wyznania ewangelickiego, od nabycia majątku sprawuje patronat nad pawonkowską parafią - nieprzerwanie do 1936 roku.

**) Podpisany pod listem dwudziesty trzeci proboszcz w historii pawonkowskiej parafii urodził się 15 lutego 1866 roku w Biskupicach. Po ukończeniu szkoły elementarnej i gimnazjum rozpoczął studia na Wydziale Teologii Katolickiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Święcenia kapłańskie przyjął 21 czerwca 1893 roku we Wrocławiu. Jako wikariusz duszpasterzował w parafii św. Barbary w Królewskiej Hucie. W 1899 roku mianowany proboszczem w parafii św. Katarzyny w Pawonkowie. Ks. Hachulski pełnił tu najpierw obowiązki wicedziekana, a następnie dziekana. W 1924 roku zrezygnował z obowiązków proboszcza w Pawonkowie. Za zgodą kard. Adolfa Bertrama oraz ks. Augusta Hlonda - Administratora Apostolskiego Polskiego Śląska został ponownie inkardynowany do diecezji wrocławskiej. Od 1924 roku pełnił funkcję kapelana domowego Siostr Służebniczek w Porębie k. Góry Św. Anny. Zmarł 16 lipca 1929 roku w Porębie i został pochowany na cmentarzu w Leśnicy.

***) Biskupi: Stanisław Adamski, Herbert Bednorz i Juliusz Bieniek byli autorami apelu o zbieranie podpisów w obronie nauki religii w szkołach skierowanego do śląskich rodziców. W związku z tym, w listopadzie 1952 roku zostali dekretem Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym wydaleny z diecezji.

Drugi list znaleziono w czasie remontu sufitu w kościele:

Pro memoria

*W roku Pańskim 1956 w czwartym roku po nieszczęsnym wystiedleniu z granic diecezji naszych 3 najprzewielebniejszych ks. Biskupów***), gdy Rządcą diecezji był ks. infułat Jan Piskorz, a proboszczem w Pawonkowie był ks. Oswald Piotr Paweł Niedziela, zaś radę parafialną stanowili następujący członkowie:*

1. Kurpierz Antoni młynarz z Pawonkowa
2. Kołodziejczyk Izidor rolnik z Pawonkowa
3. Mrozek Zygfryd technik budowlany z Pawonkowa
4. Spik Karol rolnik z Kośmidrów
5. Kuś Jan z Kośmidrów

odrestaurowano ku większej czci i chwale Bożej oraz naszej patronki św. Katarzyny ten kościół parafialny. Polichromię wykonała artysta-malarz Wanda Maria Skuza, absolwentka akademii sztuk plastycznych w Gdańsku. Łuk ten, który oddziela prezbiterium od nawy kościoła projektował architekt powiatowy Ryszard Szymura z Pawonkowa, a wykonawcami byli Kołoch Józef ze Skrzydłowic oraz pomocnicy Jan Kołodziejczyk i Gerhard Wichary obaj z Pawonkowa.

Pawonków d.6.8.1956

Prowadzony aktualnie, bardzo już potrzebny remont generalny jest równie pozytywnym „listem do przyszłości” świadczącym o dzisiejszych gospodarzach świątyni. Wyremontowany dwustuletni kościół, po przywróceniu pierwotnego, surowego wyglądu wnętrza staje się ozdobą miejscowości i jedną z perełek powiatu lublinieckiego.



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO - KULTURALNY

Spis treści

- 2 *Tajemnice pawonkowskiego kościoła*
- 4 *Dawno temu nastroje świąteczne Bożego Narodzenia ...*
- 5 *Spotkanie z poezją*
- 5 *Po co i dlaczego...? Tradycje Bożego Narodzenia*
- 6 *100 lat działalności OSP w Olszynie*
- 8 *Nasyp węgla kolejowego 1942 – 2012*
- 10 *Wigilijne zaproszenie*
- 12 *II wojna światowa w Koszęcinie – jej początek, trwanie i koniec*
- 16 *„Służba Polsce” – co to było ?*
- 17 *Wspomnienie pośmiertne o śp. Franciszku Dziwisie*
- 18 *Od Gimnazjum do Liceum*
- 20 *Roman Krupski (1953-2011)*
- 22 *Konkurs – „Moja ziemia zapisana w księgach”*
- 23 *Cudze chwalicie ...*
- 24 *Franciszek Ochman i jego konik*

Ziemia Lubliniecka - Magazyn Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Lublińcu

Adres Redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu,
ul. Paderewskiego 7, tel. 34 351 05 00, fax 34 351 05 11

E-mail: magazyn@lublinieck.starostwo.gov.pl

Redaktor naczelny: Jan Myrcik

Nakład: 3000 egz.

Skład i druk: Drukarnia  Wzrost, Radzionków ul. Nałkowskiej 51
tel. 32 289 82 75, e-mail: biuro@mikopol.com.pl

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój nr 21. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nie przyjmuje się artykułów niepodpisanych. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

Dawno temu nastroje świąteczne Bożego Narodzenia u Pana w dobrach koszęcińskich

Majątek rodu Hohenlohe obejmował obszar ponad 30 tys. ha., obejmował m.in. miejscowość Tworóg, Koszęcin, Boronów oraz kilka innych wsi. Wtedy większość lokalnej społeczności uzależnionej było od pana na Koszęcinie. Zatrudniani byli w tzw. majątkach i w lesie. Ludziom żyło się biednie, a pieniędzy starczało ledwo na przeżycie. Wieśniacy mogli korzystać ze zbioru płodów runa leśnego na podstawie wydanych kartek, a chrust – drobne gałęzie i pnie można było pozyskiwać na opał bezpłatnie.

A jak wyglądały przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia? Zapobiegliwi upatrywali sobie piękne, gęste choinki już latem, żeby zaoszczędzić czas przed świętami. Wycięcie było dozwolone za zgodą tzw. myśliwczyka, leśniczego albo gajowego.

Wcześniej zbierano i suszono grzyby, z których gotowano zupę grzybową i dodawano do wigilijnej kapusty. Jesienią pozyskiwano żołądź buki (nasiona buka), z których po dodaniu jęczmienia i cykorii wypalano kawę zbożową. Cykorię o niebieskich kwiatach zbierano wzdłuż polnych dróg. Niemal w każdym gospodarstwie domowym chowano świnie przeznaczoną na święta, dlatego masarze mieli w grudniu najwięcej roboty, przygotowywali pyszne wędliny i szynki, którymi się delectowano w czasie świąt. Rarytasem były też pieczone gęsi.



**Zbliża się magiczny, szczególny czas
Świąt Bożego Narodzenia.**

**Z tej okazji życzymy, aby ten niepowtarzalny czas
przyniósł Państwu chwile pełne wiary i miłości
oraz pozwolił spojrzeć w przyszłość z ufnością.
Niechaj wyjątkowy czas Narodzin Dzieciątka Jezus
upływa w ciepłej, rodzinnej atmosferze
w gronie bliskich i przyjaciół,
a rozbrzmiewające kolędy i zapach świerkowej gałązki
będą obecne w naszych domach.
Każdy zaś dzień Nowego 2013 Roku
wypełnia nadzieja, radość i pokój.**

**Redakcja
Ziemi Lublinieckiej**

Spotkanie z poezją

W galerii „Pod Glinianym Aniołem”, 28 października, odbył się wieczór poetycki mieszkanki Lublińca, Danuty Słoty. Uczestniczący w spotkaniu byli mile zaskoczeni sposobem przekazu jej utworów. Pani Danuta jest Lublińczanką od 45 lat. Poezją zajmuje się od 12 lat. Poza zamiłowaniem do poezji, jest miłośniczką śpiewu. Wiele lat była członkiem zespołu „Ferajna” Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów oraz chóru św. Cecylii w parafii św. Mikołaja. Jest założycielką i uczestniczką zespołu „Senioriny”, także autorką słów do niektórych piosenek tego zespołu. Za swoją działalność społeczno – kulturalną została uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi, statuetkami: 55-lecia Związku Emerytów, w którym jest członkiem zarządu i 15-lecia zespołu „Ferajna”.

WIGILIA

Danuta Słota

Już pierwsza gwiazdka rozświetla niebo
 Już blask światełek rozjaśnia noc
 Do stołu z radością zasiada rodzina
 Do wspólnej wieczery, co ma Bożą moc.
 Wszyscy pięknie przyodziani
 I modlitwą wzbogaceni
 Myśli swoje przekazują
 Opłatkami się dzieląc.
 Aby szczęście było w pełni
 Niech każdemu coś się spełni
 Niech ludzkość trwa w wesołości
 Chwała na wysokości.

BOŻE NARODZENIE

Danuta Słota

Święta, Gwiazdka – Narodził się Zbawiciel
 Wszego Świata Odkupiciel
 Przy nim czuwa uśmiechnięta
 Maria Panna – Matka Święta.
 Ta noc cudu i piękna
 To dla nas myśl niepojęta.
 To czas życzeń spełniania
 To czas zgody i pojednania.
 Błyszczącej gwiazdy promienie
 Niosą świąteczne życzenia
 Dla dorosłych i dla dzieci
 Niech znak pokoju na zawsze nam świeci.

Hanna Witczak

Po co i dlaczego...? Tradycje Bożego Narodzenia

- **ADWENT** jest to 4-tygodniowy okres poprzedzający święto Bożego Narodzenia, czas skupienia, postów, modlitw i nabożeństw.
- **CHOINKA** stawiana jest na znak narodzin Jezusa Chrystusa – rajskiego drzewka dla ludzkości.
- **WIGILIA** - słowo „wigilia” pochodzi od łacińskiego „vigilare” – czuwać oraz „wigilia” – czuwanie, straż nocna. Tradycja czuwania przed wielkimi świętami jest bardzo stara. Mamy z nią do czynienia już w Starym Testamencie. W domach Izraelitów w wigilię (wieczór poprzedzający dzień świąteczny) szabatu przygotowywano wszystko, co niezbędne do świętowania. Wieczór taki był zresztą uważany za początek święta. Tak i my dzisiaj przygotowujemy się na narodziny Jezusa Chrystusa już w wieczór poprzedzający te wydarzenie.
- **STAJENKA** - te monumentalne figurki zawdzięczmy biedaczynie z Asyżu, św. Franciszkowi, który zgromadził w grocie w miejscowości Greccio okolicznych mieszkańców i braci, by w prosty sposób pokazać im, co to oznacza, że „Bóg stał się człowiekiem i został położony na sianie”. Jest także symbolem nas samych. Jesteśmy jak stajenka, w której nie zawsze jest czysto, w której dobro przeplata się ze złem. Jednak to właśnie do stajenki, a więc i do nas, zwykłych ludzi, przychodzi Jezus, rozświetla nasze życia i daje nam nadzieję, miłość i wiarę. Bóg rodzi się w nas!
- **WIECZERZA WIGILIJNA** jest echem starochrześcijańskiej tradycji wspólnego spożywania posiłku, zwanego z grecka „agape”, będącego symbolem braterstwa i miłości między ludźmi.
- **PIERWSZA GWIAZDKA** - do stołu wigilijnego zasiadamy, gdy na niebie pojawi się pierwsza gwiazda. Ma ona przypominać Gwiazdę Betlejemską prowadzącą pasterzy i królów do Betlejem.
- **OPŁATEK** jest symbolem Eucharystii; łamiemy się nim na znak pokoju
- **PASTERKA** jest pamiątką z pierwszych wieków chrześcijaństwa, kiedy nabożeństwa nocne należały do stałej praktyki Kościoła. Charakter tej liturgii tłumaczą pierwsze słowa inwatorium (psalmu rozpoczynającego Liturgię Godzin), wprowadzenia do Mszy: „Chrystus narodził się nam. Oddajmy mu pokłon”.
- **KOLEĐY** są śpiewanymi modlitwami wdzięczności za Boży dar i cud Wcielenia Syna Bożego. Autorką pierwszej kolędy jest Maria, która wypowiada ją podczas wizyty u Elżbiety (Łk 1,46-55). Inną wypowiada Zachariasz w Ewangelii Łukasza 1,68-79.
- **SIANKO POD OBRUSEM** przypomina nam, że Jezus narodził się w stajni na sianie, przypomina o ubóstwie Świętej Rodziny.
- **12 POTRAW** symbolizuje nam liczbę apostołów.
- **PUSTY TALERZ** to miejsce dla niespodziewanego gościa, poprzez sakrament Komunii Świętej Chrystus zamieszkuje w każdym z nas, dlatego też czekamy, dlatego też w ten Wigilijny wieczór czekamy, aż przyjdzie on w drugim człowieku.

100 lat działalności OSP w Olszynie jako najstarszej straży w gminie Herby

Najstarsze wzmianki o olszyńskiej straży pochodzą z 1910 roku. Dzięki staraniom ówczesnego sołtysa Pawła Smola z funduszy gromadzkich wybudowano remizę strażacką oraz zakupiono sikawkę do gaszenia pożarów. Pierwszym komendantem został Stefan Szweda.

Straż ogniowa służyła nie tylko mieszkańcom Olszyny, lecz także okolicznych wsi. W 1923 roku brała udział w akcji gaszenia masowego pożaru w Chwostku, a 9 lat później walczyła z kolejnym wielkim pożarem, tym razem w Olszynie. W 1933 straż brała udział w odkopywaniu ofiar nieszczęśliwego wypadku podczas kopania studni.

W tym samym roku nastąpiła reorganizacja straży, w wyniku której powołano Ochotniczą Straż Pożarną. Komendantem mianowano Jerzego Klame, a jego zastępstwo objął Jerzy Halemba.

W 1950 roku w Olszynie utworzono Komendę Ochotniczej Straży Pożarnej oraz powołano dwóch komendantów: gminnego, którym został Jerzy Halemba, oraz miejscowego – Gerarda Misia. Dwa lata później urządzono świetlicę strażacką oraz zakupiono radio, a w 1953 roku zainstalowano pierwszą ręczną syrenę przeciwpożarową. W ciągu następnych kilku lat unowocześniono także sprzęt gaśniczy oraz zelektryfikowano remizę.

W wyniku kolejnego przekształcenia w 1957 roku powstał Związek Ochotniczej Straży Pożarnej z prezesem Józefem Jaksikiem na czele.

Rok 1960 okazał się znaczący dla historii olszyńskiej straży pożarnej. Utworzono zespół artystyczno-teatralny i rozpoczęto budowę nowej remizy. W pracach budowlanych uczestniczyli w czynie społecznym strażacy i mieszkańcy Olszyny. Dwa lata później remiza została ukończona i oddana do użytku. W 1963 roku odbyła się uroczystość przekazania wozu bojowego z pełnym wyposażeniem i nową motopompą. W 1964 roku społeczeństwo ufundowało i przekazało jednostce OSP sztandar, którym straż posługuje się do tej pory.

Niespełna dwa lata po wybudowaniu nowej remizy została ona uszkodzona przez huragan, których przetoczył się przez powiat lubliniecki. Strażacy szybko jednak wyremontowali budynek i ogrodzenie, niosąc jednocześnie pomoc tam, gdzie była ona potrzebna.



Od lewej: Jan Smoleń, Prezes Alojzy Kapica, Komendant Gminny Jerzy Halemba, pierwszy Komendant OSP w Olszynie Stefan Szweda, Komendant OSP w Kalinie Roman Pyka oraz członek Zarządu OSP w Olszynie Gerard Miś



Od lewej: Jerzy Halemba i Alojzy Kapica wraz z reaktywowaną drużyną żeńską przy motopompie gaśniczej

Kolejnym prezesem olszyńskiej straży został Alojzy Kapica. Za jego kadencji m.in. reaktywowano żeńską drużynę straży pożarnej, a w 1987 roku oddano do użytku salę o wymiarach 10 m x 15 m, której budowę rozpoczęto dwa lata wcześniej. Założono również w remizie instalację centralnego ogrzewania i wybudowano kotłownię.

W 2001 roku działający w Zarządzie od 1946 roku Józef Jaksik przekazał prezesurę Zygmunтови Białasowi. W tymże roku dokonano remontu wnętrza remizy, a w październiku świętowano uroczystość 90-lecia OSP.

W sierpniu 2008 roku powiat lubliniecki ponownie nawiedził huragan. Olszyńscy strażacy z pełnym poświęceniem niesli pomoc poszkodowanym mieszkańcom Kaliny i Olszyny.

Dzięki staraniom wójta gminy Herby Romana Banducha w latach 2009-2010 dokonano termomodernizacji remizy, wyremontowano zaplecze kuchenne oraz wykonano z pomieszczenia spialni łazienkę z prysznicem dla strażaków.

Obecnie – pod kierownictwem prezesa Stanisława Wiczorka – służbie miejscowej ludności oddaje się 71 członków straży, w tym 37 strażaków czynnych, 14 wspierających, 6 honorowych, 7 z Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej oraz 7 kobiet. Strażacy biorą udział w akcjach ratowniczo-gaśniczych – zawsze ofiarni i mężni w ratowaniu życia ludzkiego i mienia, w gminnych zawodach strażackich oraz stanowią oprawę świąt lokalnych i kościelnych. W związku z tegorocznym jubileuszem strażacy we własnym zakresie wyremontowali garaż.

W tym roku 21 strażaków ukończyło szkolenie dla strażaków ratowników OSP część I i II, 2 ukończyło szkolenie z zakresu ratownictwa technicznego, a 1 szkolenie dla kierowców – konserwatorów sprzętu ratowniczego. Z darowizn od sponsorów i Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego zakupiono 4 mundury bojowe specjalne, 8 mundurów koszarowych, 8 par butów skórzanych specjalnych, 12 par butów gumowych

„Strażak”, 12 kominiarek, 11 par rękawic z atestem, rozdzielacz kulowy oraz elementy do ubrań galowych druhen i druhow.

Obecnie celem priorytetowym jest podnoszenie umiejętności i poprawa poziomu przygotowania strażaków do działań ratowniczych. Co roku w przedszkolach strażacy przekazują także najmłodszym wiedzę z zakresu przeciwdziałania pożarom.

Chociaż – jak już wspomniano – pierwsze doniesienia o działalności straży pożarnej w Olszynie pochodzą sprzed 102 laty, to właśnie w tym roku olszyncy strażacy świętowali jubileusz 100-lecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Olszynie, nad którym patronat objął Starosta Lubliniecki Joachim Smyła. Jednostka OSP otrzymała najwyższe odznaczenie Prezydium Zarządu Głównego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej – Złoty Znak Związku.



Budynek straży pożarnej w Olszynie po termomodernizacji



Strażacy z wizytą w przedszkolu w Herbach



Zastępca Komendanta Powiatowego mł. br. Janusz Bula przekazuje gratulacje Prezesowi OSP w Olszynie Stanisławowi Wiczorkowi

Z dziejów Lublińca

Nasyp wału kolejowego 1942 – 2012

W tym roku mija 70 lat od momentu rozpoczęcia budowy nasypu wału kolejowego na Steblowie – dzielnicy Lublińca. Rok 1942 był kolejnym rokiem niemieckiego parcia na wschód i ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, w ramach której 7.08.1942 r. patronka parafii Lublińca św. Teresa Benedykta od Krzyża (Edyta Stein) wraz z swoją siostrą Różą i tysiącami żydów holenderskich transportowana była na śmierć w komorze gazowej w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau. Po raz ostatni przejeżdżała Ona przez ukochane miasto swej młodości trasą Wrocław-Kluczbork-Lubliniec-Tarnowskie Góry. Aby zwiększyć przepustowość szlaku kolejowego w kierunku wschód-zachód, kolejowe władze okupacyjne rozpoczęły w drugiej połowie 1942 roku budowę nasypu kolejowego, którego tor nie krzyżowałby się z linią północ-południe. Do niewolniczej pracy zatrudniono mężczyzn i kobiety z podbitej Francji, Ukrainy oraz więźniów lublinieckiego zakładu karnego. Ukrainki zatrudnione przy budowie nasypu zakwaterowane były w kilku barakach, ustawionych pomiędzy budowanym nasypem a ówczesną Birkenweg (dzisiejsza ul. Witosa) prowadzącą do majątku Steblów. Pozostali więźniowie po całodiennej pracy pędzeni byli do lublinieckiego więzienia. Całością prac kierowali i nadzór nad więźniami pełnili funkcjonariusze Organizacji Todta specjalizującej się w inwestycjach budowlanych o strategicznym znaczeniu. Ziemię pod wał kopano ręcznie z pola rodziny Franciszka Kuli na Lipskiej Górcie, którą ładowano na żelazne wózki tzw. kolyby. Zestaw około 15 kolyb ciągniony był przez małe parowozy po wąskim torze, wysypując ziemię wzdłuż toru. Jak wspomina Pan Franciszek – emerytowany kolejarz, na ówczesnych parowozach umieszczone były napisy „Koła muszą się kręcić dla zwycięstwa”, zaś maszyniści dopisywali pod spodem ironicznie „a koła wózków dziecięcych dla następnej wojny”.

Przy budowie nasypu pracowały dwa zestawy parowozów. Jedyną maszyną budowlaną na budowie wału był parowy kafar, wbijający betonowe pale w podmokły teren w miejscu budowy podpór mostowych. Mieszkańcy Steblowa, a w szczególności dzieci, w miarę możliwości podrzucały chleb ciężko pracującym więźniom.



Jedzie parowóz przez Steblów - lata 60-te XX w.



Otwór do zaminowania

Ciekawostką techniczną niedokończonego mostu nad ulicą Oleską były specjalne wnęki, które miały służyć w razie potrzeby do założenia ładunków wybuchowych i wysadzenia mostu, co miało blokować drogę w kierunku Olesna. Na szczęście dla pobliskich budynków i ich mieszkańców nie doszło do tego. Prace przy mostach przerwano w 1944 r. kiedy wiadome było, że koniec wojny był tylko kwestią czasu.

W czasie budowy wału odnotowano dwie udane ucieczki więźniów: pierwsza, kiedy jeden z strażników kazał jednemu z robotników wyczyścić swój rower. Więzień wykorzystując chwilę nieuwagi strażnika, szybko odjechał na przed chwilą wypucowanym rowerze. Strzały z karabinu nie zatrzymały zbiega. Druga udana ucieczka miała miejsce na szosie Oleskiej podczas powrotu więźniów z pracy do Lublińca. Kolumnę marszową mijało kilka samochodów ciężarowych, podnosząc kłęby kurzu na szutrowej nawierzchni, co wykorzystano kilku zbiegów, uciekając w kierunku wieży ciśnień.

Około 1970 roku w związku z elektryfikacją linii kolejowej Tarnowskie Góry-Kluczbork zdemontowano konstrukcję stalową niedokończonego mostu. W czerwcu 1996 r. rozpoczęto kontrolowane wysadzanie betonowej konstrukcji niedokończonego mostu przy ulicy Oleskiej. Prace minerskie wykonywali komandosi z lublinieckiej jednostki. Konstrukcja mostu na czas wybuchu była przykryta specjalnym dużych rozmiarów kocem eliminującym odpryski betonu, zaś po uprzednim uruchomieniu syreny na moment eksplozji wstrzymywany był ruch w promieniu kilkuset metrów. Roboty przy usuwaniu gruzowiska trwały kilka miesięcy i miały na celu przygotowanie pobocza ul. Oleskiej pod budowę kolektora deszczowego oraz później ścieżki pieszo-rowerowej oświetlonej nowoczesnymi energooszczędными lampami.

W tym samym roku w związku z prowadzeniem inwestycji wodociągowej została połączona ul. Ptaka poprzez nasyp kolejowy z ulicą Lipska Górka.

Od 2004 roku rozpoczęto stopniowe odzyskiwanie terenu poprzez rozbiórkę wału przy użyciu koparki. W 2011 roku rozpoczęto budowę kanalizacji deszczowej na ulicach Reja, fragmentu Kochanowskiego, Ptaka i Parcelacyjnej. W ramach tych prac wykonano przekop w nasypie kolejowym, łącząc ulicę Ptaka z Parcelacyjną.

Pytanie, jak długo ten ślad II wojny światowej będzie na terenie Steblowa, pozostaje bez odpowiedzi.

Na podst. relacji: Renaty Grześkowiak, Henryka Nowak, Franciszka Kula.



Niedokończony most na trasie kolejowej do Kluczborka



Ulica Oleska z widocznym niedokończonym mostem kolejowym



W parowozie na budowie nasypu



Lublinieccy komandosi podczas prac minerskich

Opowiadki z życia Ewy

Wigilijne zaproszenie

Padał śnieg, wirujące płatki okryły ulice. Tysiące migotliwych światełek tworzyło przedświąteczny nastrój. Witryny sklepów kusily przechodniów. Mikołaje, aniołki w błyszczących sukienkach z gwiazdkami we włosach, a wśród nich, niby od niechcenia, ułożono kuszące oko drobiazgi. Ewa wchodząc do sklepu, strzepnęła resztki śniegu. Tutaj kupi wszystkie prezenty, tym razem mają być przydatne, uniwersalne, ponadczasowe, ale bardzo ładne, wręcz budzące zachwyt. Postanowiła, że w tym roku nigdzie nie wyjeżdża, nawet do rodziców. Chce pobyć sama, odpocząć w ciszy, bez poczuwania się do obowiązku, że coś należy lub musi zrobić. Ma dość hołdowania przesadnej tradycji, po której zostają sterty jedzenia i wielkie zmęczenie.

- Czy naprawdę jestem aż tak bardzo zmęczona, że muszę odpoczywać w czasie świąt? - zastanawiała się, biorąc do rąk szykowną chustę - tak naprawdę problem tkwi gdzie indziej i dobrze wiem, co jest powodem, tylko nie chcę się do tego przyznać, nawet przed sobą. Ja nie mam ochoty na powtórkę z ubiegłego roku!

Do domu zjechała się cała rodzina seniorów. Ciocie, gdy opanowały kuchnię i ustawiły się na stanowiskach przy miskach, garnkach i patelniach rozpoczęły dysputy na tematy obyczajowe, typu kto, kiedy, z kim i po co i wie, że nie uniknie się pytań: czy masz już kogoś, a jaki on jest, a kim on jest? Czy odpowie - tak, czy odpowie - nie, każda odpowiedź będzie opatrzona komentarzem. Czasem troskliwość miesza się ze wścipstwem, a na tym polu wujowie, wbrew pozorom, przewyższają ciocie, rozkręcając wątek sportowy:

- Tylko pamiętaj, żeby uprawiał siatkówkę, bo to wysocy i pięknie umięśnieni mężczyźni.

- Coś ty - wtrącił się drugi - od serwowania i ścinania siatkarze mają bardziej rozwiniętą jedną stronę, zazwyczaj prawą, lepiej pływają, przynajmniej będzie miał prosty kręgosłup.

- Co wy opowiadacie - następny włączył się do rozmowy - kolarstwo jest najlepsze, przynajmniej razem sobie pojeżdżą.

- No tak, szczególnie górskie, z dodatkowym pakietem w prezencie i z serdecznymi życzeniami, żeby się nie pozabijali - sarkastycznie dopowiedział kolejny.

Dyskusję zamknęła Ewa:

- A mój chłopak gra w szachy!

Wspomnienia ubiegłorocznych świąt odżyły na tyle mocno, że Ewa przyjęła postawę obronną, ale nie agresywną, o czym przekonają się wujowie, gdy rozpakują prezenty: każdy otrzyma książkę, album z pięknymi zdjęciami sportowców ich ulubionych dziedzin sportowych.

Zzadumy wyrwało ją pytanie sprzedawczyni:

- Pomóc w czymś, bo odniosłam wrażenie, że się pani zмага...

- Tylko z myślami, proszę pani, tylko z myślami, a to niemalże walka.

- Właśnie widzę - odpowiedziała rozbawiona sprzedawczyni - najpierw mocowała się pani z chustami, a teraz fruują jedwabne szaliki. Przepraszam za moją ciekawość, ale czy na arenie poleje się krew?

Ewa spojrzała na to, co miała w rękach. Czerwień we wszystkich odcieniach z przewagą krwistej! Brr...

Kupiła mnóstwo cudeniów, słodczy pięknie opakowanych, książek, a wszystko zgodnie z planem - mają budzić zachwyt. Zaraz dokona wyboru co komu, zapakuje w ozdobny papier, podpisze, włoży do kartonu, a kurier dostarczy przesyłkę do domu rodziców w Wigilię. Zabrała się do pracy z wielkim zapałem i radością. Prezent musiał otrzymać każdy uczestniczący w wieczery, dlatego starannie dopasowywała go do typu osoby, jej zainteresowań, urody i gustów, tak by sprawił radość lub zaspokoił pragnienia. Sięgała do reklamówek po coraz to nowe drobiazgi i ze zdziwieniem stwierdziła, że mogłaby przy takim nadmiarze obdarować jeszcze co najmniej jedną wielodzietną rodzinę!

Następnego dnia w sklepie ogrodniczym kupiła choinkę, świeżą i pachnącą lasem, ozdoby w złocie i czerwieni i przytąszyła do domu. Wprawdzie przeliczyła się z siłami, ale co tam...trochę poranione dłonie i zdarty z paznokci lakier są niczym wobec poczucia samodzielności. Moje pierwsze święta poza domem nie mogą być gorsze - mówiła z przekonaniem.

W przeddzień Wigilii przystroiła choinkę, zapaliła światełka i z dumą popatrzyła na swoje dzieło. Piękna ta moja choineczka! Ewa stała i stała i... zastanawiała się, jak wygląda choinka

u rodziców? O której godzinie zasiądą do wieczerzy, czy o tej jak zawsze? W którym serwisie mama poda potrawy czy w tym po prababci? Ileż miłych i ciepłych wspomnień rozbudziło to świąteczne drzewko. I nagle uświadomiła sobie, że jej to nie dotyczy, ona w tej uroczystości nie będzie uczestniczyła, ona z własnej woli na przekór całej rodzinie wybrała inne świętowanie, no właśnie świętowanie a nie Święta. To, o której zasiądzie czy ma jakiegokolwiek znaczenie? Do kogo się odezwie, z kim będzie dzieliła radość narodzenia Pańskiego, z kim przełamie się opłatkiem? A z kim smakowała potrawy i ile ich będzie, chyba nie dwanaście, bo kto je zje? Uuuu... to nie tak miało być.

W Wigilię w pracy ruch od pierwszych minut, tak jakby wszystkim interesantom nagle przypomniało się, że koniecznie dzisiaj muszą załatwić zaległe sprawy. Toteż przerwę śniadaniową potraktowała jak wybawienie. Rozprostowała kości, przeciągając się na wszystkie strony, wypila łyk aromatycznej kawy i pomyślała, że chwilowo do szczęścia jej niczego nie brakuje. To chwilowe szczęście zmaćcił widok szefa, a jego chmurna twarz nie wróżyła nic dobrego. Nie myliła się. Stwierdził, że zdenerwowanie wśród interesantów narasta, więc zamierza poinformować ich o przedłużeniu godzin przyjmowania, tak by każdy mógł załatwić swoją, nie cierpiącą zwłoki, sprawę. Wobec zaistniałej sytuacji któraś z nich musi zostać w pracy do godziny 18. Prosi o wyrozumiałość, a tę prośbę należy traktować jako polecenie służbowe. Zapadło głucho milczenie. Ewa zdumiała się dlaczego „któraś z nich”? Przecież to ona ostatnio została po godzinach pracy, to nie jej kolej!

Koleżanka siedziała z opuszczoną głową, najwyraźniej unikała jej wzroku. Ewa знаła sytuację rodzinną Beaty, bo często rozmawiały na osobiste tematy, i co tu dużo mówić, polubiły się na zasadzie przeciwieństw. Beata, jak określa ją Ewa, to uzależniona od pięciorga dzieci mamuska i dobra żona kochającego ją mężusia, czyli z powodu ogromu miłości, której ciężar trudno udźwignąć, jest zabiegana, zapracowana, ot, taka oszczędna szara myszka.

Beata westchnęła smutno i przytaknęła głową, a Ewa głośno wyraziła zgodę.

- No, takiego nadmiaru szczęścia nie spodziewałem się, kobiety i bezkonfliktowe rozwiązanie? Z radości szef poczęstował je świeżo zaparzoną kawą.

Gdy Ewa skończyła pracę, było już ciemno. Na niebie świeciła nie jedna gwiazdka, ale tysiące. Ruszyła przed siebie, patrzyła na rozświetlone okna, puste ulice. Rodzinka pewnie zasiada już do wieczerzy - pomyślała. Pewnie dla niej jest zostawione jedno nakrycie z nadzieją, że zmieni decyzję i do nich w ostatniej chwili dołączy.

Ale podobno na upór nie ma lekarstwa. To prawda, szczególnie, gdy jest to upór osli, czyli bezsensowny. Gdyby nie była przewrażliwiona na własnym punkcie, to dostrzegłaby, że jest przez rodzinę uwielbiana, jest ich pupilką, a gdyby nie była wstrętną egoistką, zrozumiałaby, że wyrządziła im wielką przykrość, bo to, że żartowali na jej temat, to tylko jeden z punktów programu spotkania. A rodzice? Dobrze znają swoją ukochaną córunię i wiedzą, że dopóki nie posmakuje ciężaru samotności, będzie stawała okoniem.

Szybko doszła do domu. Podłączyła światełka, by nacieszyć się widokiem błyszczącej choinki. Nie zdołała jeszcze odetchnąć, gdy zabrzączał dzwonek. Na progu stali dziesięcioletni chłopczyk w czapce Mikołaja i czteroletnia dziewczynka, słodki aniołek ze skrzydełkami i gwiazdką na czole.

- Zapraszamy panią w imieniu całej rodziny na wspólną wieczerzę wigilijną - powiedział z powagą chłopczyk.

Ewa rozpoznała w nich dzieci Beaty. W pierwszym odruchu chciała odmówić. Nie doceniła jednak sprytu koleżanki. Wysłała dzieci najmłodsze, najbardziej urocze, licząc na to, że Ewa nie będzie potrafiła im odmówić.

- A mama mówiła do taty i ja to niechcący usłyszałam, że pani będzie bardzo zmęczona, to może ja przyjadę po panią sankami? - zapytał śliczny aniołek.

- Powiedz prawdę! Sanki już przytaszczyłaś i stoją przed domem!

- To dobrze, że są sanki - odpowiedziała drżącym głosem Ewa - zapakujemy na nie potrawy, które przygotowałam, no i duże pudełko z...i tu mrugnęła porozumiewawczo do starszego chłopca.

Beata niecierpliwiła się. Spoglądała zza firanki na zasypaną śniegiem ulicę. Zobaczyła trzy postacie próbujące kulkami śnieżnymi trafić w okno. Uchyliła je i usłyszała radosne śpiewanie: *Przylecieli aniołkowie jak ptaszęta z nieba I śpiewają Dzieciąteczku wesoło jak trzeba Hejże, hejże, Panie Jezu, hejże, hejże, hoc, hoc, Śpiewaliśmy, budziliśmy pastuszków całą noc.*

- Wesołych Świąt!



Darowych wspomnień czar ...

II wojna światowa w Koszęcinie – jej początek, trwanie i koniec

Wspomnienia to coś pięknego w życiu jednostek i społeczeństw. Umożliwiają one dzięki „zapisywaniu” w mózgu – na tym swoistym niedoścignionym twardym dysku pewnych zdarzeń – na ich późniejsze odtwarzanie. Późniejsze – to znaczy... za kilka minut, za kilka dni, za kilka lat albo wiele dziesięcioleci. Podobno im człowiek starszy, tym dokładniej przypomina sobie zdarzenia najdawniejsze, te ważne albo błahe sprawy z młodości, albo z wczesnego dzieciństwa. Wspomnienie bardzo często przychodzi nieproszone, rozgrywa się w intelekcie człowieka i „idzie” z powrotem na swoją „ścieżkę”. Często jednak wspomnienia kojarzone są z jakimiś nowymi wydarzeniami, doświadczeniami, przeżyciami. Wtedy przychodzą dawne przeżycia i człowiek odbiera je niczym projekcję filmową i – na nowo – jak za dawnych lat przeżywa radość, uniesienie, szczęście albo smutek, przygnębienie i dramat.

Właśnie w moim mózgu, na skutek rocznic np. wybuchu i zakończenia II wojny światowej, rocznic „odzyskania” lub „wyzwolenia” zaczyna się kotłowanie i na pierwszy plan wysuwają się przeżycia wojennego dramatu, moje osobiste albo te, które dotknęły dziesiątków tysięcy i milionów innych ludzi.

Ten numer „Ziemi Lublinieckiej” dotrze do Czytelnika w pięknym okresie Bożego Narodzenia, kiedy to w ludzkich sercach rodzi się na nowo spokój i miłość. Później, kilka dni po Świętach, kiedy do drzwi zapuka kolejny Nowy Rok, życzliwość ludzka nie zna granic. Wszyscy wszystkim życzą wszystkiego najlepszego. Ale za kilka następnych dni będzie kolejna – już 67. rocznica wyzwolenia. Przez niektórych zapomniana, wyśmiewana, nazywana kolejną okupacją, przez młodszą generację często wcale nie zarejestrowana w historycznej pamięci. Ale tak czy inaczej zakończenie najstraszliwszej wojny było największym błogosławieństwem dla tych wszystkich, którzy ją przeżyli. Ziemia lubliniecka odzyskała wolność w II dekadzie stycznia 1945 roku, a Koszęcin, o którym chcę poniżej napisać na temat „jak w tytule”, został wyzwolony dokładnie w piątkowe dopołudnie 19 stycznia 1945 roku.

Wybuch II wojny światowej w Koszęcinie nastąpił 1 września 1939 roku, prawie w tym samym czasie co na Westerplatte. We wczesnych godzinach porannych zaczęła się w zachodniej i południowej części miejscowości strzelanina. Niemieckie wojska, które stały już od wielu tygodni na odległej zaledwie o 8 km od Koszęcina granicy, wjechały kolumnami czołgów, samochodów pancernych i motocykli do prawie pozbawionego obrony Koszęcina. Nad koszęcińskim niebem przelatywały eskadry samolotów niemieckich strasząc warkotem silników spanikowaną ludność. Poległo tu wówczas 9 żołnierzy polskich. Wehrmacht posuwał się dalej w kierunku Częstochowy. Polska, która po sześciu wiekach zmartwychwstała, tu w 1922 roku przestała istnieć. Niemcy włączyli Śląsk do III Rzeszy, wprowadzili błyskawicznie niemiecką administrację i szkolnictwo i nazwali wszystko Befreiung – wyzwoleniem spod polskiej okupacji. Tak było tu od 1 września 1939 roku do pamiętnego 19 stycznia 1945 roku. Kiedy wybuchła II wojna światowa, miałem 8 lat i ukończoną pierwszą klasę polskiej szkoły, kiedy wojna w Koszęcinie się kończyła, byłem uczniem ostatniej, siódmej klasy niemieckiej Grundschule w Koszęcinie i szło mi na 14 rok życia.

Wojna nazywana czasem „współczesną wojną”, to nie tylko bitwy na odległych frontach z dala od spokojnych miast i wiosek. Druga wojna światowa rozgrywała się wszędzie: na lądzie, morzu i w powietrzu. Na pierwszej linii frontu była najstraszniejsza, ale nikt nie mógł żyć spokojnie na tzw. szerokim zapleczu frontowym, tam także groziła śmierć i poniewierka, tam trzeba było żyć w ciągłym strachu o siebie i bliskich, szczególnie o tych, których wcielano do wojska i wysyłano na różne fronty, skąd wielu nie wróciło nigdy do rodzinnych domów.

Wszystkie dzieci w Koszęcinie i na całym Górnym Śląsku były poddane rygorystycznej nauce języka niemieckiego. Posługiwanie się językiem polskim było bezwzględnie zakazane i karane surowymi karami cielesnymi. W koszęcińskiej Grundschule nauczyciele wymierzali karę

„za polskie gadanie” kijem zwanym potocznie witką, zaś po lekcjach Hauptlehrer Chmiel „poprawiał” w szkolnej piwnicy karę, bijąc po przysłowiowej „żici” wężem od hydroforu. Ta metoda przynosiła nadspodziewane wyniki - po niespełna roku wszyscy w miarę zdolni uczniowie władali dobrze językiem niemieckim. Także zajęcia pozalekcyjne były podporządkowane wychowaniu dzieci i młodzieży w duchu niemieckiego nacjonalizmu. Śpiew był jednym z ważnych przedmiotów, uczono nas przede wszystkim młodzieżowych i wojskowych piosenek. Także historia nazizmu i jej Führera „prała nasze dziecinne mózgi”. Wszystkich przydzielono obowiązkowo do poszczególnych - zależnych od wieku - organizacji takich jak Kindergruppe, Jungvolk, a także DJ i HJ oraz dziewczyny - do BDM. Jeśli ktoś nie przyszedł na wyznaczoną zbiórkę był na nią doprowadzany przez starszych aktywistów, którzy w dwójkę przychodzili do rodziców bądź opiekunów i zabierali dziecko, a rodziców pouczyli o obowiązku dla Vaterlandu i o grożących restrykcjach. Dłuższe zbiórki odbywały się najczęściej w niedzielne popołudnia i były podporządkowane zajęciom terenowym. Gelandespiele odbywały się najczęściej w parku na Sroczej Górze w okolicach baszty parkowej i nosiły w sobie załączki taktyki wojskowej. Przez pewien czas istniał także obowiązek nałożony na fryzjerów strzyżenia chłopców na tzw. Hitlerschnitt.

Podczas wojny wszystko było podporządkowane wojnie. Godzina policyjna rozpoczynała się o zmroku i trwała do świtu. Była radykalnie przestrzegana i kontrolowana przez żandarma noszącego nazwisko Junak i jego podopiecznych funkcjonariuszy. Wszystkie towary - począwszy od cukierków, zabawek, do artykułów spożywczych i przemysłowych były na „kartki” i reżimowo rozliczane. Wieczorami i nocami obowiązywał Verdunkelung - polegający na zaciemnianiu okien specjalnie produkowanym dla tych celów czarnym papierem na roletach. Na otwartej przestrzeni - podwórkach, placach i ulicach nie wolno było używać światła latarek, zapalać zapalek i zapalniczek. Budynki podpiwniczone przeznaczano na schrony przeciwlotnicze i oznaczano świecącymi farbami hasłem „Luftschutzkeller”. Dzieci szkolne ćwiczyły co kilka dni jak należy korzystać z tych środków ochrony.

Od 1940 roku Ślązaków, którzy ukończyli 18 rok życia (a od 1944 roku także 17 i niespełna siedemnastoletnich) zaciągano do wojska - Wehrmachtu. Młodszych, szesnastoletników obowiązywał półroczny pobyt w paramilitarnej

organizacji Reichsarbeitsdienst (służba pracy dla kraju), który w Niemczech hitlerowskich istniał już w czasach przedwojennych. Młodzież po ukończeniu szkoły podstawowej wysyłano obowiązkowo na roczny (czasem trochę krótszy) „Landjahr” polegający na rocznej pracy w gospodarstwach rolnych. Można to wszystko krótko skomentować następująco: człowiek w Niemczech hitlerowskich, a szczególnie w czasie wojny, był od dziecka, poprzez wiek młodzieńczy do oddania życia za „wodza, naród i ojczyznę” („Für Führer Volk Und Vaterland”) własnością państwa, dodajmy darmową, bezwzględnie podporządkowaną i wykorzystywaną własnością. Propaganda Gebelsowska była wszędzie wszechobecna. Na plakaty i ulotki nie szczędzono papieru. Pamiętam do dziś afisze z malowidłami i napisami: „Pst.. Feind hort mit”, „Volkssturm um Freiheit und Leben“, „Kohlenklau”, „Rader müssen rollen für den Sieg“, „Sieg oder Bolschewismus“ i inne.

Chciałbym w tym artykule napisać także o życiu koszęcińskiego kościoła w czasie wojny, bo od 1941 roku byłem ministrantem, a przez ostatnie dwa lata wojny - ministrantem - kościelnym, bo wszyscy starsi ode mnie koledzy-ministranci byli już na Landjahrze, w Arbeitsdienstcie lub w Wehrmachcie. Proboszczem w Koszęcinie w czasie wojny był wspaniały ksiądz doktor Anastazy Muża, który przyszedł do Koszęcina na „przechowanie” z Piotrowic. Był Kaszubem władającym doskonale zarówno polskim, jak i niemieckim językiem. Znał także grecki, łacinę i włoski - w tych językach studiował i napisał rozprawę doktorską „O istocie Trójcy Świętej”. Wikarym był ks. Erwin Muszer (piszący się wówczas Muscher), późniejszy proboszcz strzebińskiej parafii. Widziałem z bliska, a poniekąd przygotowywałem liczne dramatyczne ceremonie pogrzebowe bez zmarłych, nabożeństwa przebłagalne, nabożeństwa różańcowe z „zaleckami” za poległych chłopców. W kościele w tym czasie nie było prawie widać mężczyzn, za wyjątkiem tych, którzy już ze względu na lata czy choroby nie mogli się przydać wojennej machinie. Za to było pełno kobiet i dzieci, często już młodych wdów i sierotnych dzieci. Z Koszęcina poległo w Wehrmachcie 170 mężczyzn, (niektórych z nich najpierw uznano za „vermist” - „straconych”). Z należących do koszęcińskiej parafii NSPJ miejscowości Strzebiń, Prądy, Łazy, Brusiek, Drutarnia i innych przysiółków poległo około 80 osób. Z tego prostego rachunku wynika, że w koszęcińskim kościele NSPJ, wówczas Herz Jesuskirche, odbyło się około.... 250 żołnierskich pogrzebów. Nabożeństwo pogrzebowe poległego

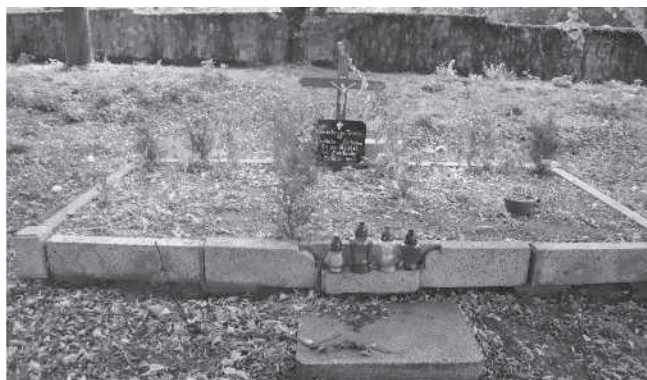


ks. dr A. Muza - proboszcz w Koszęcinie - 1939 - 1946r.

żołnierza nie różniło się zasadniczo od „normalnego” pogrzebu. Była Msza św. i łacińskie ceremonie pogrzebowe, w ławkach siedziała pogrążona w głębokim smutku rodzina poległego, a duży koszęciński kościół był zawsze przepełniony wiernymi. Brakowało tylko prawdziwej trumny z poległym żołnierzem. Ale z tym problemem poradzono sobie od pierwszego żołnierskiego pogrzebu. Przed ołtarzem ustawiano katafalk, na nim piękny, wykonany z dykty szkielet w kształcie stylizowanej trumny i przykrywano go grubym, czarnym płótnem ze zwisającymi frędzlami. U góry widniał duży biały krzyż. Po bokach stały cztery drewniane, około 130 cm wysokości, świeczniki z dużymi woskowymi świecami. Obok świec stali na bacność – przez całe nabożeństwo – sprowadzani z wojskowego lazaretu, który od 1941 roku do końca wojny mieścił się w budynku szkolnym - żołnierze w hełmach i galowych uniformach. Ten widok oraz całkiem zaciemniony kościół, pogrążał i tak już bardzo smutną ceremonię. Takie pogrzeby odbywały się w koszęcińskim kościele od 1941 roku prawie raz w tygodniu - kiedy to otworzył się front



Pomnik polskich żołnierzy na cmentarzu św. Trójcy w Koszęcinie



Grób niemieckich żołnierzy na ewangelickim cmentarzu w Koszęcinie - 2012r.



Grób niemieckich żołnierzy na cmentarzu ewangelickim - marzec 1945r.

z Rosją wschodni, śmiercionośny front. Pamiętam jednak dwa pogrzeby żołnierskie z pochówkiem poległego. Pierwszy to pogrzeb żołnierza polskiego Alojzego Stojka z Koszęcina, który poległ w Taninie 1 września 1939 roku i został pochowany na cmentarzu przy kościele św. Trójcy. Drugi taki żołnierski pogrzeb miał Józef Żurek, który poległ w wehrmachtowskim mundurze pod koniec 1944 roku niedaleko od rodzinnego Koszęcina, wycofując się wraz ze swoją jednostką ze frontu wschodniego. Najbardziej uroczysty „żołnierski pogrzeb” miał w Koszęcinie, poległy w Nikolskoje i tam spoczywający porucznik Konrad Alfred Maxymilian Maria - książę zu Hohenlohe-Ingelfingen, spadkobierca ogromnych dóbr po księciu Karolu-Gottfriedzie. Na tej uroczystości - oprócz chyba ponad tysiąca koszęcian - obecna była cała świta niemieckiej, szlacheckiej urodzonej arystokracji, przeważnie ewangelickiego wyznania, co wówczas było ewenementem, gdyż wtedy żaden katolik nie

wchodził do ewangelickich świątyń i żaden ewangelik do katolickich kościołów. Wtedy msze św. odbywały się tylko wczesnym rankiem, przeważnie o godzinie 6:00 bądź 6:30, aby ministranci mogli zdążyć na 8:00 do szkoły. Nie było też mowy o mszach św. koncelebrowanych. Każda Msza św. była odprawiana w jednej intencji. Podczas wojny w naszym kościele oprócz proboszcza i wikarego odprawiali jeszcze dwie, czasem trzy Msze św. ciche (Stille Messe) ranni księża - żołnierze ze wspomnianego już szpitala wojskowego w Koszęcinie. Bywało, że w tym samym czasie przy wszystkich czterech ołtarzach (istniał jeszcze wówczas ołtarz świętej Teresy) odprawiane były msze święte, przy głównym ołtarzu „głośna”, to znaczy „śpiewana” w łacińskim ceremoniale, a przy bocznych ołtarzach ciche msze św. z jednym ministrantem. Tak było do 19 stycznia 1945 roku, kiedy do Koszęcina wjechała od Boronowa licząca 15 czołgów rosyjska Pancerspitza.

Ostatni dzień wojny w Koszęcinie kończył hitlerowską okupację w naszej miejscowości i był dniem słusznie nazywanym „dniem wyzwolenia”. Czekaliśmy na ten dzień z wielką radością i nadzieją, ale także pełni strachu i niepewności. Rano tego dnia ks. proboszcz Muża odprawił jeszcze Mszę świętą i udzielił wszystkim obecnym w kościele rozgrzeszenia generalnego (bez spowiedzi). Strach przed czerwonoarmistami był ogromny, bo w szkołach, na afiszach i wszędzie mówiono nam, że Ruscy wszystkich pozabijają, albo - jeszcze gorzej - że każdy Ruski to Menschenfresser (ludożerca). O godzinie 9:00 tego pamiętnego dnia czołgi rosyjskie wjechały na plac przy Gminie, tuż obok mojego rodzinnego domu. Tam widziałem z bardzo bliska wojskową egzekucję. Swoi rozstrzelali dwoma strzałami z pistoletu w serce swego rosyjskiego, będącego w niemieckiej niewoli chłopca, który parę chwil wcześniej przybiegł do nich z Oberhofu (z folwarku księcia znajdującego się wówczas na prawo od ulicy Boronowskiej pod lasem „na Górcie”). W tym dniu, oprócz wielu innych nieszczęść, poległo w Koszęcinie i w jego okolicach kilkadziesiąt niemieckich żołnierzy. Wszyscy prawie byli uśmierceni z pistoletów maszynowych przez znajdujących się na czołgach żołdatów, kiedy rowem przy ulicy Boronowskiej począwszy od lasu, w głębokim śniegu, już bez broni szukali ostatniej deski ratunku. Oglądałem wiele razy tych pozabijanych, przeważnie starszych żołnierzy, bo leżeli przysypani mroźnym śniegiem na koszęcińskiej ziemi prawie dwa tygodnie, czekając na pochówek. Jeden z tych nieszczęśliwów poległ



Epitafium dla poległych na posesji J. Myrcika

obok mojej posesji, dokładnie w miejscu, gdzie postawiłem kilka lat temu wszystkim poległym żołnierzom pomnik. To paradoksalne, ale prawie w tym samym miejscu dokładnie 10 metrów w kierunku południowym poległ 1 września 1939 roku na kasztanowej alejce jeden z dziewięciu polskich żołnierzy. I już ostatnie zdania. Żołnierzy Wehrmachtu nie wolno było pochować na cmentarzu, mieli być zakopani w miejscu niegodnym pochówku, gdzieś w polu albo w lesie. Na szczęście stało się inaczej. W skrytości przed ówczesną władzą, dzięki wielkiej zasłudze ks. Erwina Muszera, przetransportowano poległych saniami starego pana Brzeziny na cmentarz ewangelicki w koszęcińskim parku. Ładowali ten „WOJENNY BAGAŻ” „dwojkarze” (z Volkslieście II) z Koszęcinia i zawozili na miejsce wiecznego spoczynku - to znaczy na zawsze. Tam w zmróżonej ciężką zimą ziemi zakopano ich we wspólnej mogile - 45 Niemców i 1 Rosjanina. Postawiono na ich mogile drewniany, brzozyowy krzyż - symbol żołnierskiej śmierci i pamiętano o nich przez wszystkie lata. Koszęcin, cywilizowany Koszęcin, nigdy nie zapomni o Zmarłych i pochowanych na ewangelickim cmentarzu. Wszyscy wiemy, że tam leżą w poświęconej ziemi kości zmarłych, choć miejsca ich pochówków zbezczeszczono w latach powojennych i „zamazano” groby. Pamiętajmy o łacińskim zawołaniu: „CORPORA DORMIUNT ANIMAE” - co znaczy „Ciała śpią, dusze czuwają”.

„Służba Polsce” – co to było ?

Dziś już mało kto wie, co to było „Służba Polsce”. Pamiętają to jedynie ci, którzy we wczesnych latach powojennych byli obowiązkowo zaciągani do tej paramilitarnej organizacji, której junacy za darmo harowali przy ciężkich pracach fizycznych i byli zmuszani do ćwiczenia się w sztuce wojennej i poznawania rodzącego się „ustroju sprawiedliwości społecznej”. Organizacja ta powstała ustawą Sejmową 25 lutego 1948 roku i była podporządkowana PPR i ZWM (o tym wtedy nikt z nas młodych ludzi nie wiedział, to można teraz dopiero wyczytać w internecie). Pamiętam dokładnie, że w marcu 1950 roku byłem razem z wieloma kolegami wezwany na komisję kwalifikacyjną do Lublińca i uznany za zdolnego do służby w Powszechnej Organizacji Służba Polsce. W kwietniu jechaliśmy już długim pociągiem w bydłowych wagonach do Warszawy. Podróż trwała dość długo, chyba całą dobę. Zostaliśmy wyładowani na zrujnowanym wojną dworcu w Gdańsku, skąd pieszo maszerowaliśmy wśród gruzowisk na Bielany. Tam na błoniach, po lewej stronie parku bielańskiego stały już dziesiątki przygotowanych dla nas namiotów. W tym samym dniu ubrano nas w mundury, które przypominały trochę, szczególnie bluzy, mundury wojska Andersa. Powiedziano nam, że służyć będziemy w II Warszawskiej Brygadzie SP. Od następnego dnia zaczęła się musztra i nauka śpiewu. Pamiętam do dziś hymn SP, którego pierwsza zwrotka brzmiała tak: „Znow się pieśń na usta rwie, SP hej SP, Nierozłączne siostry dwie, młodzież i SP. Szumem wabi morza siny brzeg, wzywa pieśń Warszawy. Rytmem łopat rozdzwonimy wnet piastowskie szlaki sławy. Dalej z nami fundamenty kłaść, pod gmach Polski nowej. Maszeruje rozśpiewana brać, w przyszłości świat tęczyowy.”

Później, przez cztery prawie miesiące, chodziliśmy odgruzowywać Stolicę. Szło się pieszo aż do dzisiejszego ronda na Żoliborzu, skąd furmankami, czasem samochodem ciężarowym zawożono nas do miejsca pracy. Łopaty nosiliśmy zawsze z sobą, bo były potrzebne do ładowania gruzu na jednokonne, wąskie furmanki. Silniejsi chłopcy rozwalali kilofami większe bryły cegieł z zawalonych domów. Jeszcze dzisiaj - oczyma wyobraźni - widzę ogromne zwały gruzów po obu stronach każdej wąziutkiej ulicy. Nie pamiętam natomiast dokładnie ile godzin trwała praca, ale zapamiętałem ogromne zmęczenie ciężką fizyczną

pracą. Po powrocie były zajęcia wojskowe i praca świetlicowa. Na Bielanych stały jeszcze dwie Brygady, z lewej strony junacy w wojskowych lotniczych mundurach, którzy odbudowywali lotnisko, a z prawej strony rozbite były namioty Żeńskiej Brygady SP, wśród których było dużo dziewcząt - ochotniczek z Polonii francuskiej. Wszystkie były zatrudnione przy porządkowaniu parku bielańskiego i zniszczonych zabudowań klasztornych. Ja jednak miałem tam trochę szczęścia. Po pewnym czasie, dzięki zdolnościom plastycznym, dostałem się do świetlicy Brygady, gdzie wspólnie z kilkoma kolegami zajmowałem się dekoracją otoczenia, wykonywaniem gazetek ściennych i.... witaniem przez radiowęzeł przychodzących z zajęć poddziałów, dedykując im - za wykonanie prac ponad normę - pieśni patriotyczne. Na pagonach mego munduru pojawiały się coraz wyższe stopnie. Byłem junakiem, starszym junakiem, patrolowym i podhufcowym. Do domu wróciłem w początkach lipca 1950 roku, aby za dwa lata iść znowu „na dwa lata” do zaszczytnej służby w Ludowym Wojsku Polskim, gdzie „dorobiłem” się kaprała i pisarza sztabowego. Policzyłem, że Polsce służyłem dwa i pół roku za gratis, nic nie zyskując materialnie i nic intelektualnie.



Wspomnienie pośmiertne o śp. Franciszku Dziwisie

Śp. Franciszek Dziwis zmarł dnia 3 października 2012 r. Jego śmierć okryła głęboką żałobą nie tylko całą ukochaną przez Niego Rodzinę oraz prawie wszystkich mieszkańców rodzinnych Kochcic, ale również lublińczan. To w Lublińcu śp. Franciszek pracował i był wybitnym sportowcem, jednym z najznakomitszych zawodników piłki nożnej w siedemdziesięciosześcioletniej działalności Lublinieckiego Klubu Sportowego „Sparta” Lubliniec.

Należał jeszcze do pokolenia wojennego. Utalentowanego piłkarza Ludowego Zespołu Sportowego „Mechanik” Kochcice rychło dostrzegli jednak działacze i trenerzy lublinieckiej „Sparty”, w konsekwencji czego dziewiętnastoletni wówczas Franciszek Dziwis zostaje piłkarzem lublinieckiego klubu, gdzie od razu zabłysnął jako najskuteczniejszy ofensywny zawodnik. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku, dzięki Jego doskonałej grze oraz genialnej intuicji strzeleckiej LKS „Sparta” odnosił wiele sukcesów sportowych, co skutkowało m.in. awansem na wyższy szczebel mistrzowskich rozgrywek. Przez wiele sezonów dzierżył tytuł króla strzelców i był kapitanem drużyny. Podczas odbywania przez Niego zasadniczej służby wojskowej w Opolu, po usilnych staraniach Zarządu LKS-u, był zwalniany z wojska na mecze „Sparty”. Rokrocznie był uznawany za najlepszego piłkarza lublinieckiego klubu. W plebiscycie na najlepszą jedenastkę pięćdziesięciolecia (1936-1986) Lublinieckiego Klubu Sportowego został wybrany przez kibiców kilku pokoleń na pozycję środkowego napastnika, obok m.in. takich znakomitych piłkarzy jak: złotego medalisty olimpijskiego - pięćdziesięciokrotnego reprezentanta Polski - Zygmunta Anczoka, reprezentanta Śląska - Alojzego Bogackiego i Zygmunta Wójcika. Znalazł się również na czołowej pozycji wśród najlepszych sportowców wszystkich sekcji klubu na przestrzeni dziejów LKS-u „Sparta” Lubliniec.

Przodował nie tylko na zielonej murawie boiska, ale równocześnie był wzorowym pracownikiem Przedsiębiorstwa Transportowego w Lublińcu (PBROL-u). Można śmiało powiedzieć, że śp. „Franek” (Jego pseudonim boiskowy) jest legendą LKS-u „Sparta” Lubliniec. Jego osiągnięcia

sportowe przypadają na trudne lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte ubiegłego wieku. W dzisiejszych czasach miałyby na pewno wielką szansę na grę na najwyższym szczeblu rozgrywek ligowych.

Sylwetka śp. Franciszka Dziwisa pozostanie nadal żywa w sercach i umysłach lublińczan oraz mieszkańców Kochcic i okolicznych miejscowości, o czym świadczy także niezliczona rzesza uczestników Jego pogrzebu w dniu 5 października br. na czele z wójtem Gminy Kochanowice Ireneuszem Czechem, celebrowanego przez księdza proboszcza Krystiana Marondla.

Niech odpoczywa w pokoju!



Od Gimnazjum do Liceum Mickiewiczowska Szkoła Średnia w Lublińcu w swoim 90-leciu

Jubileusz 90-lecia istnienia Zespołu Szkół nr 1 imienia Adama Mickiewicza w Lublińcu uroczysto obchodzony w tym roku, jest okazją do przypomnienia początków i rozwoju polskiego szkolnictwa ogólnokształcącego na ziemi lublinieckiej. Jego historia związana jest z dzisiejszą ulicą Jana III Sobieskiego, łączącą centrum miasta z południową częścią. W okresie międzywojennym były to dwie ulice: Sądowa, biegnąca od małego rynku do skrzyżowania i znajdującego się obok budynku więzienia oraz ulica Jana III Sobieskiego, która prowadziła do koszar wojskowych. To przy tych dwóch ulicach znajdują się trzy budynki, w których rozpoczęła się historia dzisiejszego Zespołu Szkół nr 1.

W pierwszym z nich, przy ulicy Sądowej nr 4, umiejscowiono w 1922 roku pierwszą polską szkołę średnią w Lublińcu. Dziś jest to opuszczony budynek, w którym nie tak dawno znajdowały się warsztaty szkoły zawodowej. Lokalizacja w nim polskiej szkoły była nieprzypadkowa. Przed I wojną światową i plebiscytem, w budynku tym, wzniesionym w 1911 roku, funkcjonowało niemieckie półgimnazjum. Nowoutworzona polska szkoła średnia nosiła kilka nazw i była płatną szkołą, podlegającą władzom miejskim Lublińca. Miejskie Gimnazjum Koedukacyjne, zwane także Wyższą Szkołą Miasta Lublińca lub Progimnazjum Miejskim w Lublińcu z Prawami Publiczności, funkcjonowało do 1926 roku. Głównym jego organizatorem z ramienia polskich władz, które przejęły Lubliniec w 1922 roku, był ksiądz Jan Szymała, katecheta, społecznik i pedagog, przybyły do Lublińca jako kapelan 74 Pułku Piechoty, nazwanego później Górnośląskim. Pierwszym dyrektorem nowoutworzonej placówki został działacz plebiscytowy Rudolf Markiton. Do dziś w Zespole Szkół nr 1 przechowywany jest dar ks. Szymały dla szkoły, którym było popiersie Adama Mickiewicza, przywiezione przez niego wielkopolskiego Biedruska, skąd wraz z żołnierzami wyruszył do Lublińca. Jest to jedna z nielicznych pamiątek z tego okresu, ocalała przed zniszczeniem w 1939 roku. W roku 1926 nastąpiło przejście przez władze województwa śląskiego samorządowej dotąd szkoły i powołanie Państwowego Gimnazjum Męskiego imienia Adama Mickiewicza



Pierwszy budynek szkoły z lat 1922-1929, znajdujący się przy ówczesnej ulicy Sądowej 4



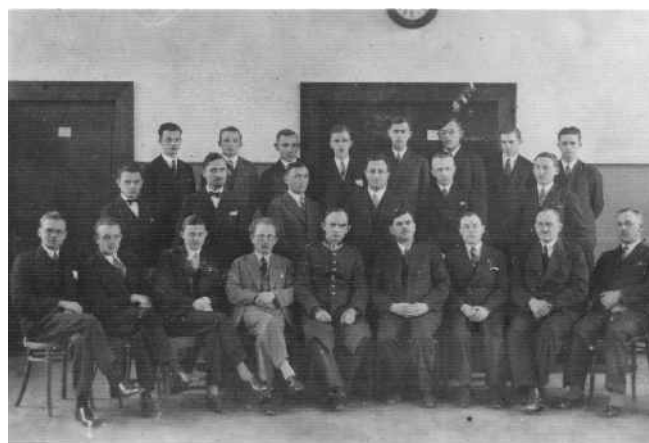
Nowy, obecny gmach szkoły, oddany do użytku w grudniu 1929 roku. Zdjęcie zostało zrobione tuż po ukończeniu budowy

w Lublińcu. Pod dyrekcją dr. Józefa Areckiego nastąpił szybki rozwój niewielkiej dotąd placówki. Najbliższym współpracownikiem nowego dyrektora, przysłowiową „prawą ręką”, był ks. Jan Szymała. To przede wszystkim staraniami tych dwóch pedagogów (dr Arecki był również nauczycielem języka polskiego) wybudowano dwa nowe gmachy dla szkoły, która przejęła kształcenie Polaków mieszkających w Niemczech, zwłaszcza na Śląsku Opolskim. Dlatego pamięć o tych zasłużonych postaciach jest szczególnie kultywowana w szkole. W 1997 roku auli szkolnej nadano imię dyrektora Areckiego, a w hallu szkoły odsłonięto pamiątkową tablicę upamiętniającą ks. Szymałę. Pierwszy ze wspomnianych budynków to okazały gmach, w którym siedzibę ma obecny Zespół Szkół nr 1. Jego budowa przy ulicy Sobieskiego, trwająca w latach 1928-1929, pochłonęła niebagatelną sumę 1,6 miliona złotych, natomiast wyposażenie kolejne 3 miliony.

Drugi z gmachów, to równie okazała bursa dla uczniów gimnazjum, której nadano imię ks. Konstantego Damrota. Stała ona nieopodal pierwszego budynku gimnazjum, w którym w 1930 roku otwarto Dom Nauczycielski. Dziś, zarówno pierwszy budynek szkoły, jak i dawny budynek bursy gimnazjalnej, w którym w okresie powojennym umieszczono szpital, czekają nieużywane na umiejscowienie w nich nowych instytucji. W szkolnej bursie stworzono komfortowe warunki zamieszkania dla 145 uczniów, głównie Polaków przybyłych do Lublińca z Niemiec w celu uzyskania wykształcenia średniego. Związane to było z faktem utrudniania przez niemieckie władze otwarcia polskiego gimnazjum na terytorium tego kraju. W 1931 roku Opolan, jak ich nazywano, uczyło się w lublinieckim gimnazjum 120. Przeprowadzona rok później reforma szkolnictwa w II Rzeczypospolitej powołała do życia Państwowe Gimnazjum i Liceum Koedukacyjne imienia Adama Mickiewicza. Zastąpiło ono dotychczasową 8-letnią szkołę średnią. Aby uzyskać świadectwo maturalne należało ukończyć 4-letnie gimnazjum, a następnie 2-letnie liceum oraz zdać egzaminy maturalne. Z zachowanej dokumentacji wynika, że od 1930 roku, kiedy przeprowadzono w szkole pierwszy egzamin maturalny (zdawali go uczniowie, którzy w 1922 roku rozpoczęli naukę w 8-letnim gimnazjum), do 1939 roku świadectwo dojrzałości uzyskało co najmniej 127 uczniów (dane te są niepełne ze względu na zniszczenie podczas wojny szkolonego archiwum). Ówczesna matura, bardzo trudna do zdania, była przepustką do lepszego życia, umożliwiała awans społeczny i pracę dla państwa, ceniącego sobie ludzi budujących nową, odrodzoną Polskę.

Okrutny czas II wojny światowej przerwał działalność Mickiewiczowskiej Szkoły Średniej. Jej pracowników i uczniów mordowały i prześladowały zarówno reżimy hitlerowskich Niemiec, jak i stalinowskiego ZSRR. Pamięć o tych czasach przypominają dwie tablice znajdujące się w szkole. Pierwsza poświęcona „byłym nauczycielom i wychowankom Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Lublińcu poległym za wolność i niepodległość ojczyzny w latach 1939-1945” oraz druga, przywołująca pamięć zamordowanego w Katyniu profesora Józefa Filipowskiego, wykładowcy historii i podoficera rezerwy z 1939 roku.

Szkoła wznowiła swoją działalność w 1945 roku. W jej murach przeprowadzano różne formy kształcenia. Siedzibę miało tutaj gimnazjum, szkoła podstawowa, zawodowa, technikum i inne placówki. Jednak w powszechnej świadomości mieszkańców Lublińca i okolic Mickiewiczowska



Pierwsi maturzyści wraz z gronem profesorskim, sala gimnastyczna, 1930 rok.
Piąty od lewej siedzi ks. Jan Szymała

Szkoła Średnia zapisała się jako liceum ogólnokształcące, które ukończyło tysiące absolwentów. Owo „liceum w Lublińcu”, powszechnie kojarzone, mimo istnienia innych tego typu szkół w mieście, właśnie z Mickiewiczowską Szkołą Średnią, było i jest przepustką do uzyskania wyższego wykształcenia i realizacji planów zawodowych. Wszyscy absolwenci „Mickiewicza” zawdzięczają to niestrudzonemu wysiłkom dyrektorów, nauczycieli, wychowawców i pracowników szkoły. Każdy związany z lublinieckim „Adasem” spytany o ulubionego czy charakterystycznego nauczyciela bez wahania opowiedziałby wiele historii z nimi związanych ze swoich szkolnych lat spędzonych w gmachu przy ulicy Sobieskiego. Powojenna i współczesna szkoła także miała i ma swój rozmach, nawiązujący do tradycji przedwojennych. Symbolem innowacyjności i nowoczesności „Mickiewicza” stało się unikatowe w skali kraju obserwatorium astronomiczne, później strzelnica sportowa, a dziś są to nowoczesna hala sportowa wraz z kompleksem boisk. Razem z funkcjonalnym gmachem z okresu międzywojennego, w którym znajduje się równie innowacyjna jak na czasy międzywojenne i rozpoznawalna aula, tworzą dzisiaj całość, w której kształcą się kolejne pokolenia mieszkańców ziemi lublinieckiej. Bogata historia szkoły doczekała się wspaniałej serii wydawniczej w postaci „Lublinieckiego Pamiętnika Pedagogicznego”. Na łamach czterech dotychczasowych zeszytów przedstawiono dorobek wielu pokoleń nauczycieli, wychowawców i uczniów Mickiewiczowskiej Szkoły Średniej, który składa się na jej historię. Prześledzić ją można również w Internecie, na stronie Muzeum Internetowego Pamiątek Historycznych Zespołu Szkół nr 1 im. Adama Mickiewicza pod adresem www.muzeum.mickiewicz.net.pl

Roman Krupski (1953-2011)

Roman Krupski - nietuzinkowa postać Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza, całego Lublińca i nie tylko. Matura w 1972 r. Klasa, której wychowawcą była pani prof. Alicja Ostrowska, należała do ambitnych, zdolnych i bardzo aktywnych, w szerokim tego słowa znaczeniu.

Roman był „kopalnią pomysłów”. Jako uczeń LO działał w samorządzie klasowym, ale jego poczynania organizatorskie wychodziły daleko poza społeczność klasową. Ze szkoły podstawowej przeniósł do liceum swoją harcerską pasję. Jako instruktor ZHP uczestniczył we wszystkich szkolnych akcjach harcerskich, a że jego wychowawczyni, prof. Alicja, była opiekunem szczepu – działo się wiele. W tym przypadku współdziałanie ucznia z nauczycielem było wręcz modelowe: rajdy, zbiórki i przede wszystkim letnie obozy harcerskie były jego efektem. Roman starał się, aby każda akcja i każdy wyjazd były sensowne i atrakcyjne. Szczególnie obóz harcerski w Prądówce k. Trzciela w Wielkopolsce był niezwykle udany. Wzięło w nim udział wielu harcerzy i harcerzek ze szczepu przy „Adasiu”, a Roman był instruktorem programowym.

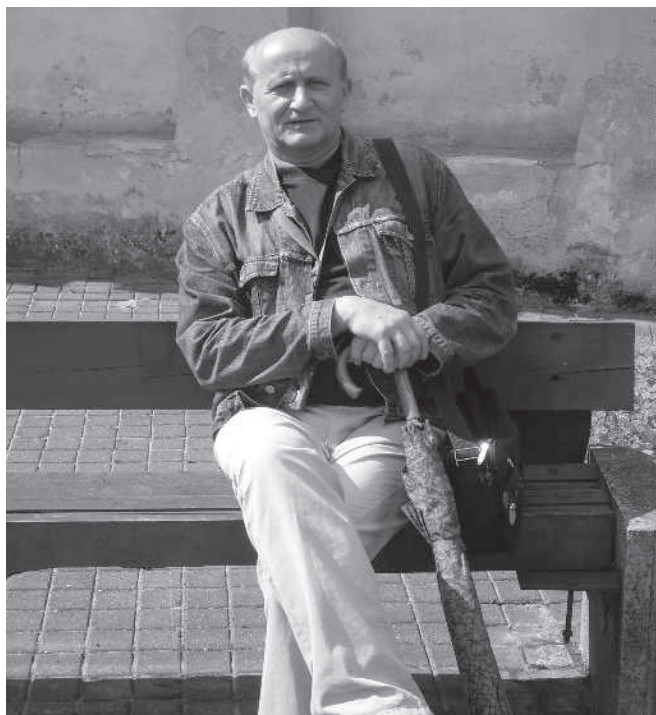
Jednak jego największym osiągnięciem, jeszcze jako ucznia liceum, było stworzenie w szkole kabaretu, który nazwał Pod Cambronnem (Cambronne – generał francuski o niespotykanym poczuciu humoru). Wymyślił formułę artystyczną kabaretu, a następnie skupił wokół siebie wiele uzdolnionych koleżanek i kolegów. Przez lata był szefem kabaretu, jego reżyserem, scenarzystą, scenografem, aktorem, konferansjerem i pracownikiem technicznym. Pomimo że dzielił zadania – sam pilnował każdego, nawet najdrobniejszego szczegółu, dbając o jak najlepszy efekt końcowy. Sam również pisał swoje teksty do programów.

Kabaret Pod Cambronnem był ewenementem na owe czasy. Oprócz prezentacji talentów szkolnych aktorów, kabaret dotykał istotnych spraw społecznych i politycznych. Często też, w wyrafinowany i subtelny sposób, drwił z otaczającej nas wtedy rzeczywistości. Rzadko która szkoła średnia miała takie warunki i taki zespół. Piękna, stylowa aula, koncertowy fortepian Bechstein oraz wierna, żywo reagująca publiczność dopełniały całości. Każdy kolejny program kabaretu był artystycznym świętem w szkole. Szkoda, że ówczesna technika

nie była w stanie zarejestrować tych programów. Wiele znakomych kreacji aktorskich pozostało tylko w naszej pamięci. Szkoda...

Po zdaniu matury i opuszczeniu murów szkolnych, Roman – już jako student Wydziału Prawa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach – nadal kierował kabaretem, poświęcając mu wiele swojego wolnego czasu. Nadal „zarażał” swoimi artystycznymi wizjami kolejne roczniki utalentowanej młodzieży. Później – pracując już w prokuraturze w Bytomiu, a potem w Lublińcu – powierzył to swoje „dziecko” młodszemu kolegom. Młodszy, niestety, nie podołał. A może po prostu zabrakło im zapału i energii. Po pewnym czasie ta lubliniecka efemeryda zakończyła swój żywot. W czasie swojego trwania kabaret doczekał się kilku autorskich programów i wielu znakomych kreacji aktorskich. To na jego scenie śpiewali: Marcel Trojan (Psiuk), Jędrzej Bielecki, Franek Koszarek, Tadek Świątczak, Mirka Wolna i wielu innych. Do dzisiaj „Adaś” nie doczekał się takiego zespołu i takiego programu, który bawiłby szkolną społeczność przez tyle lat. Kabaret Pod Cambronnem wpisał się złotymi literami w historię naszej szkoły. Roli jego założyciela i długoletniego szefa, Romana Krupskiego nie da się przecenić.

Roman nigdy nie zerwał kontaktu ze szkołą. Zawsze była mu bliska i zawsze żywo interesował się jej problemami i sukcesami. Kilka lat pracował tu jako nauczyciel, ucząc prawa administracyjnego w Liceum Ekonomicznym. Mocno związany był z siatkówką. Początkowo „odbijał” z kolegami w „Adasiu”, a później grał, już jako zawodnik, w lublinieckiej Sparcie. Następnie, przez wiele, wiele lat, trenował w lublinieckiej drużynie TKKF Pedagog. W liceum „odbijaliśmy” w małej salce gimnastycznej, w której odbywały się wszystkie zajęcia wf, treningi i okolicznościowe turnieje. Zawsze narzekał na tę ciasnotę i bardzo chciał to zmienić. Dzięki jego staraniom udało się wygospodarować część zatni, w której urządzono siłownię i saunę. Także dzięki jego pomysłowi i uporowi w działaniu zajęcia sportowe w Zespole Szkół zyskały nowy, lepszy wymiar. Ale to był tylko załączek kolejnej, wielkiej idei, która kiełkowała w jego głowie: marzyło mu się, aby szkoła miała halę sportową z prawdziwego zdarzenia. Ponieważ siłę perswazji miał ogromną, przekonał do swojej idei dyrekcję szkoły, starostwo lublinieckie i wielu



podobnych mu fascynatów. To on wymyślił i nakreślił projekt hali, który projektant formalnie zrealizował. Jego determinacja w działaniu i dobra współpraca ze starostwem dały nieprawdopodobny rezultat. Hala sportowa powstała w niespełna rok. Dzisiaj jest dumą szkoły i miasta. Tu odbywają się największe prestiżowe imprezy i turnieje sportowe. Jest jedną z najładniejszych i najbardziej funkcjonalnych hal sportowych na Śląsku. Posiada 6 szatni z pełnym węzłem sanitarnym, salki do aerobiku i fitness, siłownię, pokoje dla trenerów, widownię i lokal gastronomiczny na piętrze. Ma również sporą widownię. Tej pięknej hali zazdroszczą nam drużyny, które przyjeżdżają tu na turnieje sportowe. Ta hala to perełka szkoły i Lublińca, największe, widoczne gołym okiem, materialne dzieło Romka Krupskiego.

Ale tego Romanowi było za mało. Zawsze wyznaczał sobie następne cele i dążył do ich jak najszybszej realizacji. Parł do przodu jak lodolamacz Krasin. Od dawna utwierdzał siebie i nas w przekonaniu, że powinna powstać organizacja, która skupiałaby absolwentów szkoły oraz jej dawnych i obecnych nauczycieli. Z jednej strony sprzyjałaby utrzymaniu kontaktów ze szkołą, a z drugiej – poszerzałaby jej różnorodne działania. Wymyślił i powołał do życia Stowarzyszenie Absolwentów i Wychowawców Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza, Technikum i Liceum Ekonomicznego w Lublińcu, które zaczęło aktywnie działać w 2003 r.

Kiedy nareszcie demokracja zapukała do naszych polskich drzwi i otworzyły się granice Europy i świata, Roman, poprzez Stowarzyszenie,

zaczął organizować wycieczki turystyczne - zarówno dla jego członków, jak i dla szkolnej młodzieży. Wymyślał trasy, pozyskiwał chętnych, z biurem podróży Kormoran z Olesna (realizator większości wycieczek) negocjował jak najkorzystniejsze warunki finansowe i najczęściej sam był szefem tychże wyjazdów. W ciągu kilku lat młodzież i członkowie Stowarzyszenia po kilka razy zwiedzili najciekawsze miejsca w Europie, poznając inne kultury i obyczaje, ucząc się języków i odpoczywając w najpiękniejszych zakątkach. Roman zawsze sam kompletował obsadę pedagogiczną i sam tymże wycieczkom przewodniczył. Wycieczki, które organizował, były zawsze pod każdym względem profesjonalnie przygotowane i przeprowadzone z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów. Z roku na rok cieszyły się coraz większą popularnością i zyskiwały nowych sympatyków. Ostatni wycieczka, którą Roman zorganizował - do Paryża - odbyła się już bez niego.

Oprócz pomocy szkole w różnych formach (doposażenie bazy dydaktycznej, dopłaty do biletów dla młodzieży na spektakle teatralne etc.) Stowarzyszenie zajęło się organizacją różnego rodzaju imprez artystycznych w murach szkoły. Chcąc, aby aula szkolna spełniała wszelkie warunki do realizacji profesjonalnej działalności artystycznej, Roman spowodował, że dzisiaj aula ta posiada kompletne nagłośnienie i oświetlenie. Dzięki niemu nasza aula spełnia wymogi profesjonalnej sali koncertowej. Wspólnie z koleżankami i kolegami ze Stowarzyszenia udało nam się gościć na tej scenie m.in. kabaret Ani mru-mru, Krzysztofa Piaseckiego, Krzysztofa Daukszewicza, wrocławski kabaret ELITA, Gang Marcela, Universe czy Halinę Frąckowiak. Tu też, z inicjatywy Romka, odbył się benefis Ani Świątczak, której karierę artystyczną śledził z niezwykłą sympatią i życzliwością.

To z inicjatywy Romana, po wielu latach nieobecności, powróciły na scenę auli licealnej koncerty estradowe, w których prezentowała się młodzież szkoły. On sam inicjował te koncerty, uczestniczył w pracach nad scenariuszem, wymyślał i zlecał wykonanie plakatów, wreszcie sam rozprawdzał bilety, jeżdżąc osobiście po domach i firmach, a w czasie ich trwania był oświetleniowcem.

Organizacja koncertów noworocznych stała się niepisaną tradycją szkoły i jest już nieodłącznym elementem pozalekcyjnego życia naszej „Alma Mater”. Ostatniego koncertu, który odbył się w styczniu 2012 r., Roman nie doczekał. Zmarł przedwcześnie 11 listopada 2011 r.

KOMUNIKAT

DYREKTORA

SAMODZIELNEGO PUBLICZNEGO ZESPOŁU OPIEKI ZDROWOTNEJ W LUBLIŃCU

w sprawie możliwości odbioru indywidualnej wewnętrznej dokumentacji medycznej
dotyczącej pacjentów leczonych

w Niepublicznym Zakładzie Opieki Zdrowotnej Poradni Skórno-Wenerologicznej

Zgodnie z postanowieniami ustawy z dnia 6 listopada 2008 r. o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta (Dz. U. z 2009 r., nr 52, poz. 417 z późn. zm.) oraz Rozporządzenia Ministra Zdrowia z dnia 21 grudnia 2010 r. w sprawie rodzaju i zakresu dokumentacji medycznej oraz sposobu jej przetwarzania (dz. U. z 2010 r., nr 252, poz. 1697) Dyrektor Samodzielnego Publicznego Zespołu Opieki Zdrowotnej w Lublińcu, ul. Sobieskiego 9, 42-700 Lubliniec, informuje, iż osoby zainteresowane odbiorem wewnętrznej dokumentacji medycznej (pacjent, jego przedstawiciel ustawowy lub osoba bliska upoważniona przez pacjenta), mogą odebrać ww. dokumentację po uprzednim kontakcie z pracownikiem Archiwum (pod nr tel. 34 350 63 94).

Pismenne wnioski o wydanie ww. dokumentacji można kierować również na adres :

SP ZOZ w Lublińcu

Dział Organizacji i Nadzoru

Ul. Sobieskiego 9

42-700 Lubliniec.

Odbiór dokumentacji możliwy jest po osobistym stawiennictwie w Dziale Organizacji i Nadzoru, ul. Grunwaldzka 9, III piętro, 42-700 Lubliniec, okazaniu dokumentu tożsamości potwierdzającego uprawnienia do odbioru dokumentacji (ewentualnie wraz z pisemnym upoważnieniem do uzyskania dokumentacji w przypadku osób bliskich) oraz własnoręcznym pokwitowaniem odbioru dokumentacji.

Konkurs – „Moja ziemia zapisana w księgach”

Dnia 7 listopada 2012 roku w Szkole Podstawowej w Rusinowicach odbyła się III edycja Gminnego Konkursu Czytelniczego „Moja ziemia zapisana w księgach”, poświęcona poecie-kuźnikowi Walentemu Roździeńskiemu. W konkursie udział wzięli reprezentanci wszystkich szkół podstawowych z gminy Koszęcin, którzy musieli wykazać się wiedzą na temat życia i twórczości Walentego Roździeńskiego. W tym trudnym temacie najlepiej orientowały się uczennice szkoły z Rusinowic: Beata Ślosarczyk, Marlena Kandzia i Nicole Bronder. Konkurs zaszczyli swoją obecnością:

Wójt Gminy mgr inż. Grzegorz Ziaja, dyr. Zespołu Szkolno - Przedszkolnego w Rusinowicach mgr Elżbieta Bryła, kierownik Zespołu Obsługi Placówek Oświatowych mgr Ewa Brodowy, dyr. Domu Kultury w Koszęcinie mgr Renata Pyrek i mgr Jan Myrcik, który przewodniczył komisji konkursowej. Organizatorzy konkursu, który odbył się w ramach obchodów Roku W. Roździeńskiego, serdecznie dziękują zaproszonym Gościom za udział w tym spotkaniu oraz Nauczycielom., którzy świetnie przygotowali swych podopiecznych do tego trudnego tematu.

Cudze chwalicie ...

Kujawy to ciekawa kraina – bogata w zabytki architektury, miejsca historyczne, uzdrowiska, oraz wspaniałą przyrodę. Zapewne znane, przynajmniej ze słyszenia, są takie miejscowości, jak Włocławek, Inowrocław czy Kruszwica.

We Włocławku na uwagę zasługuje przede wszystkim gotycka bazylika katedralna ze wspaniałym, bogatym wyposażeniem (kaplice, nagrobki, witraże). Warto także zwiedzić Muzeum Etnograficzne oraz udać się na starówkę. W Inowrocławiu godny zobaczenia jest romański kościół pw. NMP oraz słynne tężnie w rozległym parku. Warto również zwiedzić Muzeum J. Kasprowicza. Kruszwica, położona nad owianym legendą jeziorem Gopło zachęca do jej odwiedzenia mysią wieżą i nowo otwartą wystawą w podziemiach koło wieży.

Na uwagę zasługują jednak także miejsca mniej znane. Warto zatrzymać się na przykład w Pieraniach. Jest to wieś położona na wschód od Inowrocławia. Na podziw zasługuje tu monumentalna świątynia, trójnawowa bazylika pw. św. Mikołaja, zbudowana w latach 1732-1743 na planie prostokąta, kryta gontem. Jest to jedna z największych tego typu budowli w Polsce – prawdziwa perła architektury drewnianej. W swojej bogatej historii obiekt przechodził różne koleje losu. W 1853 roku został przebudowany – na polecenie władz pruskich usunięto dwie wieże, a znajdujące się tam dzwony miały być zatopione w jeziorze Gopło. W kościele tym znajduje obraz Matki Boskiej Łaskawej (w kronikach z roku 1712 zapisano, że obraz ten był tu już od 200 lat), dzięki któremu Pieranie zyskały przydomek „Częstochowa Kujaw”. Ponadto w świątyni można obejrzeć bogatą polichromię, kaplicę Zmartwychwstałego z ołtarzem z roku 1732 i ciekawym obrazem.

Z miejscowością Pieranie związany był Jerzy Waldorff, znany publicysta i muzykolog.

Kolejnym wartym odwiedzenia miejscem jest wieś Parchanie położona 10 km na wschód od Inowrocławia. W tej małej miejscowości mieszkał wraz z rodziną generał Władysław Sikorski, który zakupił tu mały mająteczek w 1923 i do 1939 często przebywał w swoim dworku. W miejscowej szkole nazwanej jego imieniem znajduje się Izba Pamięci – muzeum, w którym zgromadzono liczne pamiątki po generale. Zbiory są stale powiększane o nowe eksponaty, przekazywane przez różne osoby zwiedzające to miejsce. W 1981 r. odsłonięto obelisk upamiętniający pobyt generała w tym miejscu.

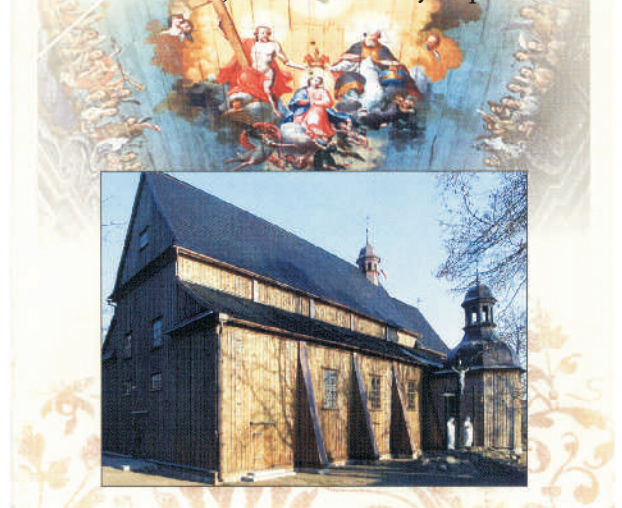
Na uwagę zasługuje również kościół pw. św. Wojciecha z XIX w. o ścianach z surowej cegły z konstrukcją szachulcową z dobudowaną wieżą w stylu neobarokowym.

Podróżując po okolicy nie sposób ominąć także miejscowości Płowce znanej ze stoczony tu bitwy króla Władysława Łokietka z Krzyżakami w 1331 r. Można tutaj zobaczyć kamienny pomnik z 1961 r., postawiony w miejscu, gdzie przed wojną znajdował się kopiec o wysokości 20 m (zniszczony podczas wojny).

Udając się na południowy wschód od Włocławka dojeżdżamy do małego miasteczka Kowal, gdzie na rynku znajduje się olbrzymich rozmiarów pomnik króla Kazimierza Wielkiego. Z postawieniem tego monumentu związana jest pewna ciekawostka – otóż kamieniołomy w Polsce nie były w stanie dostarczyć tak wielkiego monolitu granitu, więc sprowadzono go z zagranicy, a koszt transportu przekroczył wartość kamienia.

W Kowalu znajduje się także dyrekcja Włocławskiego Parku Krajobrazowego. Park zajmuje powierzchnię 40 tys. ha i został utworzony w 1979 roku. Jest to wyjątkowy obszar o ciekawej budowie i rzeźbie terenu. Obejmuje on wzgórza morenowe, wały wydymowe, kilka jezior, w tym jezioro Przytomne ze stromymi stokami podwodnymi. Niedawno, w znajdującym się na terenie parku jeziorze Gościąż, będącym rezerwatem geomorficznym, odkryto ewenement na skalę światową – na jego dnie stwierdzono osady, które tworzą gytia węglanowo-siarczkowe. Jest to jak dotychczas jedyny stwierdzony w Europie przypadek mikrowarstwowania. Park Krajobrazowy obejmuje ogółem 14 rezerwatów, 9 ścieżek przyrodniczo-dydaktycznych oraz 3 obszary Natura 2000.

W trzech słowach: jechać – zobaczyć – podziwiać.



Errata

W numerze 2/2012 (103), w artykule pt. „Cudze chwalicie”, mylnie zapisano nazwę miejscowości. Powinno być „Kamianna nad potokiem Kamianna”, a nie Kamienna.

Franciszek Ochman i jego konik

O ludziach, którzy robią coś niestereotypowego, coś, co innym wydaje się czasem bezprzedmiotowe, śmieszne i niepoważne, co nie przynosi żadnych materialnych profitów, mówimy że mają „ptoka” albo „konika”. Mój dzisiejszy bohater jest właścicielem nie „konika”, ale prawdziwego konia, pochodzącego z Ukrainy, któremu uratował życie wykupując go od handlarza koni. Ochman nie jest rolnikiem, posiada zaledwie mały ogródeczek, parę arów ziemi ornej i trochę łąki, aby plony z tego wyżywiły jego ulubieńca. Całe swe życie do emerytury przepracował w Fabryce Papieru w Kaletach, która od wielu lat już nie istnieje. Tam też poznał swoją żonę Ewę Mazur, która akceptuje przez ponad 40 lat hobby swego męża. U Ochmanów zawsze był koń. Miał go dziadek Hermann i ojciec Józef. Oboje przez pokolenia byli rolnikami z kilku hektarami ziemi. Dorabiali wożąc koszęcińskich dostojników dorożkami i saniami. Byli też niejako na usługach księży, wożąc ich „do chorego” lub na pogrzeby i kołędy. Franciszek wyrastał od dziecka w wielkiej miłości do konia i do przyrody w ogóle. Mówi, że koń dużo nie potrzebuje, trochę jedzenia

i „ludzkiego traktowania”. Dodaje, że konik mu za wszystko odplaca, pracując, jak tylko może. Gospodarstwo Ochmanów liczy zaledwie parę arów. Stoi tam mały domek, stodołka, chlew dla swojego ulubieńca i małe pomieszczenia na kury i dostojnego koguta. W stodole przechowywane są liczne, dziś już antyczne maszyny rolnicze, jak przedwojenna koparka do ziemniaków, pług, kultywator, radło, stara fura, bryczka i sanie. Na podwórku widać - trochę kiczowate - figurki, naturalne i sztuczne kwiaty, stare akcesoria konne i furmańskie itp. Nie posiada dla swojego konia siodła, „bo by mu było za ciężko”. Konik ma piękny, mały wybieg, ciągle patrzy na swego pana, grzebiąc nóżką i kiwa głową, jakby swemu właścicielowi nieustannie dziękował za „ludzkie traktowanie”. Ochmanowe gospodarstwo to raczej mały skansen, coś w rodzaju muzeum sprzętu rolniczego i minizoo z jednym starym koniem i kilkoma kurami. Ale mówiąc poważnie, to Ochman uczy innych szacunku i miłości do przyrody i do tradycji - a niejako przy okazji - zadowala się swoim „ptokiem” i „konikiem”.





Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO - KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

NR 3/ 2012 (105)

Wtedy jest Boże Narodzenie

*Zawsze, ilekroć uśmiechasz się do swojego brata
i wyciągasz do niego ręce,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy milkniesz, aby wysłuchać,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy rezygnujesz z zasad,
które jak żelazna obręcz uciskają ludzi
w ich samotności,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy dajesz odrobinę nadziei "więźniom",
tym, którzy są przytłoczeni ciężarem fizycznego,
moralnego i duchowego ubóstwa,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy rozpoznajesz w pokorze,
jak bardzo znikome są twoje możliwości
i jak wielka jest twoja słabość,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, ilekroć pozwolisz by Bóg
pokochał innych przez ciebie,*

*Zawsze wtedy,
jest Boże Narodzenie.*

Matka Teresa z Kalkuty

